

Jan Kanty Pawluśkiewicz: Wszyscy chcieli bywać w Piwnicy

Piwnica zagrała na dwóch nutach: pobudziła wysokiej rangi snobizmy – w ówczesnej szarości PRL było to zasadniczą nowością, i zapewniała coś, co nazywam ewentualnością szoku. Mieszczkańska krakowska wyobraźnia sugerowała, że w Piwnicy odbywają się czarne msze, albo i coś dwie półki wyżej – mówi Jan Kanty Pawluśkiewicz w wywiadzie udzielonym „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Rogata Piwnica”.

Adam Talarowski (Teologia Polityczna): Zaczniemy ab ovo: jak wyglądały początki Piwnicy pod Baranami?

Jan Kanty Pawluśkiewicz: Piwnica pod Baranami została założona przez młodych ludzi, studentów i absolwentów szkół wyższych, takich szkół artystycznych jak Wyższa Szkoła Muzyczna czy Akademia Sztuk Pięknych, ale także osoby związane z Uniwersytetem Jagiellońskim, studentów historii sztuki... Warto przywołać takich ludzi jak Krzysztof Penderecki, Bronisław Chromy – rzeźbiarz, Jerzy Skarżyński, malarz i scenograf. I Piotr Skrzynecki, oczywiście. On akurat nie ukończył historii sztuki, ale jemu ten fakt nieukończenia najmniej przeszkadzał. Już w pierwszych dwóch latach istnienia Piwnica stała się bardzo ważnym miejscem w Krakowie.

Czym wyróżniała się na artystycznej i kulturalnej mapie miasta?

Piwnica zagrała na dwóch nutach: pobudziła wysokiej rangi snobizmy – w ówczesnej szarości PRL było to zasadniczą nowością, i zapewniała coś, co nazywam ewentualnością szoku. Mieszczkańska krakowska wyobraźnia sugerowała, że w Piwnicy odbywają się czarne msze, albo i coś dwie półki wyżej. Mimo, że towarzystwo w niej się zbierające było otwarte, ożywione, gotowe patrzeć na sztukę od strony awangardy, to jednak dzięki Piotrowi Skrzyneckiemu tworzył się swego rodzaju zamknięty krąg. Dla sztuki nie ma nic lepszego niż tego rodzaju wysoki snobizm. To powodowało, że Piwnica stawała się miejscem bardzo ważnym, miejscem tęsknoty, rozczarowań – jeśli ktoś się nie dostał, a zachwyty, jeśli się dostał, bez względu na to, jaki program był grany.

Właśnie, nie tak łatwo było się dostać do Piwnicy?

Ba, w ogóle nie można było się dostać, ponieważ stałymi gośćmi była cały czas ta sama „ekipa”... W Piwnicy kabaret ukonstytuował się dopiero po roku, a na początku miał być, w założeniach, klub dyskusyjny, miejsce, gdzie młodzi mogliby się spotkać. Warto w tym miejscu podkreślić dwa nazwiska – Joanny Olczak, wówczas osiemnastoletniej dziewczyny, i Piotra Skrzyneckiego, pary osób, która stworzyła Piwnicę pod Baranami. Zapleczem intelektualno-salonowym obdarowała mama Joanny Olczakowej, córka słynnego przedwojennego warszawskiego wydawcy, Jakuba Mortkowicza. A jeszcze niezrównana i oddana Janina Garycka!

Najpierw do Piwnicy ciągnęli jazzmani, późniejsza pierwsza liga – Krzysztof Komeda, Wojciech Karolak, Andrzej Kurylewicz, Roman Dyląg. Wcześniej grali w prywatnych mieszkaniach, a teraz pojawiła się

okazja występowania na szerszej scenie. Piotr Skrzynecki raczej nie bardzo lubił jazz, oczarowywał ich swoją osobowością, ale ostatecznie, koniec końców, „pogonił”, choćby metodą okazywania nadmiernego szacunku; wielu z nich ostatecznie przeniosło się do Warszawy.

Gdy ukonstytuował się w Piwnicy kabaret, jak opowiadał mi Piotr – ja w tym jeszcze wówczas nie uczestniczyłem – za Chiny Ludowe nie dało się tam dostać, trzeba było mieć duże znajomości lub podjąć ogromne starania. To paradoksalnie gwarantowało sukces, ponieważ jeśli się nie można dostać a komuś się to uda, to ludzie nie będą okazywali rozczarowania, a zapytani w towarzystwie jak było, zawsze powiedzą: „coś niesamowitego”.

A więc mamy kabaret. Dookoła towarzystwo skrajnie amatorskie w sensie „wystawienniczym”, natomiast niebywale rozgrzane w chęci popisu, imponowania, równocześnie stojące się coraz bardziej kompetentne w swoich zawodach.

Kto wówczas zbierał szlify w kabarecie?

Był Wiesiek Dymny – znakomity rysownik i scenograf, Kaziu Wiśniak, który akompaniował scenograficznie Piwnicy przez dziesiątki lat. Krystyna Zachwatowicz, która w późniejszych latach potrafiła z Argentyny przylecieć tak punktualnie, żeby zdążyć na kabaret. Tadeusz Kwinta – rasowy aktor. Mietek Święcicki – rasowy śpiewak. Wszystko młodzi ludzie, dwudziestoparoletni. Krzysiek Litwin – świetny malarz, ale absolutnie uzdolniony aktorsko. No i Zygmunt Konieczny, który się wprosił, bardzo chciał przyjść, po roku dopiero go przyjęli dzięki

wstawiennictwu Mietka, ale za to musiał mu dwie piosenki napisać. Piotr jeszcze wówczas na niego patrzył koso: nie wiedział, co to za chudzielec się tak kręci. Więc takie towarzystwo, które ma po dwadzieścia sześć lat, rozgrzane, ma możliwość tworzyć w Piwnicy, która właściwie stwarzała wszelką bezkarność. To trwało trzy czy cztery lata. Wówczas, pod koniec lat 50., Piwnica rozwijała się i była marzeniem już nie tylko dla zdumionej publiczności krakowskiej, ale nabierała szwungu, bo stała się już ogólnopolsko znana – może jeszcze nie tak, jak sami sobie wyobrażali, ale w ogóle się tym nie przejmowali.

Piwnicę odwiedzali już wówczas nieprzypadkowi goście...

Tak, wtedy nawet Józef Cyrankiewicz, ówczesny premier, życzył sobie bywać w Piwnicy. Wiesiek Dymny przebywał nawet na indywidualnych spotkaniach z Cyrankiewiczem w hotelu. Ekipa Cyrankiewicza wynajmowała Hotel Francuski, a oni bankietowali, z tym, że Wiesiek miał różne nastroje, więc bardzo często, już trochę rozgrzany, wyzywał go od łysej pały i innych takich... Co było przyjmowane ze zrozumieniem, potwierdzonym tym, że za miesiąc Cyrankiewicz przyjeżdżał i znowu wynajmował Francuski i zapraszał na bankiet. Żadnych świadków oczywiście oprócz ochrony nie było, więc to wszystko mogło bezkarnie uchodzić

Francuzi, przyjeżdżając do Krakowa, też zawsze chcieli trafić do Piwnicy. Utrwalił się miły zwyczaj, że kto obejmował konsulat francuski, to pierwszą wizytę poszedł zapoznawać się, przedstawiać do Piwnicy. Jeśli ktoś obejmował ambasadorstwo warszawskie, to bardzo często przychodził się przedstawić Piwnicy. To tłumaczy i naświetla rangę miejsca na mapie ówczesnego Krakowa.

Również ambicją przyjeżdżających z Warszawy było dotrzeć do Piwnicy. Bywał Jerzy Waldorff, wówczas już ważny krytyk muzyczny, Adam Hanuszkiewicz, Maja Komorowska, przede wszystkim Andrzej Wajda, którego fascynowała osobowość Piotra, Wojciech Has. Zresztą, nazwiska nie są najważniejsze, ale dają pewien obraz. To był kwiat aktorstwa, kwiat reżyserów, intelektualistów, krytyków, wszyscy chcieli bywać w Piwnicy.

Znajomość z reżyserami przybierała potem formę współpracy?

Tak, może Andrzeja Wajdę kabaret aż tak „nie brał”, ale z kolei Piotr co i rusz podpowiadał mu różne nazwiska, stąd w filmach pojawiali się aktorzy Piwnicy pod Baranami. Z dużymi sukcesami! Fantastyczną, wspaniałą rolę zagrał też choćby Krzysiek Litwin w „Rękopisie znalezionym w Saragossie” Wojciech Hasa.

Po kilku latach działalności kabaret został jednak wyrzucony przez władze z Pałacu pod Baranami...

To było coś, co musiało nastąpić. Piwnica została z dnia na dzień wyrzucona: „Dość tego dziadostwa tutaj”, tak miejscowy stróż powiedział. Słowa były poparte, wcześniej decyzja wyszła od dyrektora Domu Kultury. Nazywał się Grzyb, bardzo symbolicznie. Najpierw pogrywano u Literatów na Krupniczej, potem w Klubie Żydowskim na Sławkowskiej. Tam w 1963 roku miałem przyjemność być po raz pierwszy na programie Piwnicy.

Jakie były pierwsze wrażenia?

To mnie przewróciło dosłownie, w sensie mentalnym i fizycznym. To, co wyprawiał Wiesiek Dymny, było tak śmieszne, że można było oszaleć. Wtedy też już się pojawiła, nawet rok czy dwa lata wcześniej, Ewa Demarczyk, która robiła wielkie wrażenie. Czarem przez swoją osobowość roztaczał oczywiście Piotr Skrzynecki.

Utrzymanie Piwnicy po utracie siedziby wymagało od niego wiele wysiłku?

Siła tkwiła w jego ruchliwości, nieustępliwości, bo przecież można było po wyrzuceniu zrezygnować, rozwiązać, rozejść się. Natomiast dla Piotra stało się to miejscem najistotniejszym w jego życiu, ponieważ on nigdy nie miał domu, nigdy nie pracował na etacie, więc Kabaret był istotą jego życia. A ponieważ wykazywał się dużą ruchliwością, talentem organizacyjnym i czarem, któremu wszyscy ulegali, skupiał wokół siebie świetne towarzystwo. Oczarowany mógł starać się o to, żeby na deskach Piwnicy wystąpić, co nie było łatwe. Ale też ulegali czarowi ci, którzy się potem – jak to mówił Piotr – zdeprawowali i rozeszli, bo ofiar było bardzo dużo.

Jak wspomina Pan postać Piotra Skrzyneckiego z czasów współpracy i przyjaźni?

Roztaczał niezwykle czar. Feeria, po prostu nieustająca feeria i rozkosz przebywania, rozmowy, dyskusje, żarty... Zналиśmy się ponad 30 lat, spędzał u nas przez kilkanaście lat wielogodzinne wigilie. Jego erudycja oszałamiała. Skąd się wzięła? Piotr do '44 roku, mając 14 lat, ukrywał się jako dziecko żydowskie u swojej ciotki w Makowie Podhalańskim, i wówczas, jak sam mówił, „uzupełniał lektury”. Czytał w zasadzie wszystko, co tam było – a było sporo. W związku z tym jego zaplecze literackie było ogromne. Nie mógł wychodzić z domu, obserwował otaczające go ludzkie dramaty; ale przede wszystkim czytał, czytał i czytał! W późniejszym okresie jego przewodnikiem i fascynacją był Michel de Montaigne. Stale chodził z „Próbami” pod pachą.

Była w tym umiejętność erudycji bez popisywania się. Każde spotkanie z Piotrem przeradzało się w bardzo istotną rozmowę; alkohol w tym zresztą pomagał. Potem rozmowa zmieniała swoje punkty ciężkości, niemniej jednak to Piotr mówił, że do istotnych rozmów zawsze się przygotowywał i zawsze miał coś zdumiewającego do powiedzenia, w tym sensie zdumiewającego, że opartego na źródłach prawdziwych, natomiast zdumiewającego dla tych, którzy byli dobrze wyedukowani, natomiast nie mieli o tym fakcie pojęcia. Bardzo często, a byłem tego świadkiem, już w drugiej, trzeciej godzinie rozmowy w ruch szły słowniki wyrazów obcych, encyklopedie, Larousse. Sprawdzaliśmy i chcąc nie chcąc wychodziło na to, że Piotr jest doskonale przygotowany.

Od strony organizacyjnej był świetny w różnych ambicjonalnych intrygach towarzyskich [śmiech]. Kiedyś mówi mi: „Panie Janie, Zbyszek Raj napisał nowe Stworzenie świata”. Ja zaraz zacząłem

myszkować, szukać, żeby coś napisać lepszego. Intryga, ambicjonalne uzupełnienie, i już powstawał nowy repertuar.

Fenomenalne umiejętności reakcji, szybkość reagowania w żartach, delikatna złośliwość. To orzeźwiało spotkania i robił się rodzaj twórczej elektryczności, fajerwerkowej niemal. Za tym szły też plany, które potrafiły w efekcie potem oszołomić.

Ich realizacji też towarzyszył rozmach?

Zdarzało się, że Piotr wymyślał jakiś bal, np. w opustoszałym pałacu Potockich w Krzeszowicach, w ruinie i na jedną noc zimową, na mrozie, w przestronnych salach, cudownie udekorowanych, z kopiami dawnego malarstwa. Podkreślam, w ruinie to wszystko było, natomiast na jedną noc zrobiono fenomenalne dekoracje, śpiewają skowronki, więc od razu wejście jest takie jak trzeba. Potem rozmowy, tańce, loteryjki, ponad dwie setki gości, w trakcie towarzystwo greckie, które bije się do krwi, to też bardzo uatrakcyjnia. Potem się godzą, rozmowy są coraz bardziej głębokie, bo jednak alkohol robi swoje. Mówię tylko w skrócie, co może wywołać niekorzystne wrażenie, ale staram się mówić o takich elementach, które ujmowały czy wręcz porywały. Dużo było w tym z Felliniego, nawet nie poprzez inspirację, ale uzmysławiam sobie, że to miało ten właśnie zapach i ten sznyt.

Albo w latach 90., słynna Noc Paryska. Jednej nocy ulica Floriańska, długości 500 metrów, ze sklepami, 600 może sklepów, na jedną noc zamieniła się ta ulica w Paryż. Została wybudowana wieża Eiffla w skali odpowiedniej, Moulin Rouge. Wszystkie sklepy otwarte oraz dwanaście

scen kabaretowo-teatralnych, które grały całą noc. W latach 80. Daniel Olbrychski udawał księcia Poniatowskiego, który wjeżdża do Krakowa, a wszystko z końmi, tłumem na Rynku i na koniec wielkim balem w Sukiennicach. Długo by wymieniać...

Wróćmy jeszcze do lat 60. W 1963 roku Piwnica mogła z powrotem trafić do Pałacu pod Baranami.

Tak, legenda mówi, że prawdopodobnie decyzją Józefa Cyrankiewicza „Piwnica wróciła do piwnicy”. Wtedy zaczął się najwspanialszy okres Piwnicy, z ukonstytuowaną, wielką już wówczas gwiazdą Ewą Demarczyk, z wielką gwiazdą Wieśka Dymnego, z gwiazdą Krzysztofa Litwina, Andrzeja Warchała, Leszka Długosza, Tadeusza Kwinty, który pracował w teatrze w Katowicach i, proszę sobie wyobrazić, po spektaklu w Katowicach pędził do Krakowa, żeby zdążyć na Kabaret. Bo to było najważniejsze. Nie mówiąc o Mietku Świącickim, o Zygmuncie Koniecznym, który stworzył nowy świat dźwięków w muzyce popularnej. Wszystko to miało niesłychanie nowoczesny sztafaż, było kompletnie inne, nowe, precyzyjnie skonstruowane. Myślę, że pieśni Zygmunta do dzisiejszego dnia wytrzymują próbę czasu. To się troszkę odsunęło w historię, niemniej jednak oryginalność jest niepodważalna.

Ale proszę sobie wyobrazić, że to jest 60 lat prawie temu, więc to elektryzowało. To robiło spektakl Piwnicy. Z jednej strony żartowny, oszalały Dymny, który latał, mówił teksty niewiarygodne, absurdalne, wysoce obsceniczne, obrażał publiczność, a za chwilę Ewa wychodziła z „Groszkami...”, z cudowną liryką, i tak na przemian, prawie bez ładu i

składu. Natomiast nikt nie śmiał powiedzieć, że w programie Piwnicy nie było dramaturgii. Na moje oko one zawsze miały dramaturgię, tyle że utajoną.

A jak doszło do pierwszych Pana występów w Piwnicy, razem z Markiem Grechutą?

To było nasze dzieciństwo, można tak powiedzieć, w wieku dojrzałym, ale dzieciństwo, pierwsze kroki. Doszliśmy do wniosku: po co będziemy się starać dostać do Piwnicy, zrobimy własny kabaret. Miał on wprawdzie bardzo krótką historię, ale zdobył, no, oczywiście w ograniczonym kręgu, wśród studentów, dużą popularność. Zaprosili nas do Warszawy na dziesięć programów do Riviery, zapraszały nas różne kluby studenckie. Marek Grechuta, dzięki wstawiennictwu w pewnym strategicznym momencie, został zakwalifikowany do finału piosenkarzy studenckich (choć wszystko wskazywało, że dziwaczność naszych piosenek, nieruchomość Marka i sposób interpretacji to nie jest to, co powinno kwalifikować go do wyższych stopni studenckich popisów), a Ewa Demarczyk dostrzegła w tym wartość. Powiedziała, że pobije tych jurorów, jak nie zmienią werdyktu, no i oni chyba w obawie o to pobicie zakwalifikowali Marka [śmiech].

Zostaliśmy zaproszeni na fali tego sukcesu, dosłownie na drugi dzień, do Piwnicy pod Baranami. I Piotr Skrzynecki pyta, czy zechcemy wystąpić na deskach. Proszę tutaj zwrócić uwagę na kolejność wydarzeń, a rozjaśni się wiele spraw, jeśli chodzi o osobowość Piotra. „No więc, czy Panowie zechcecie wystąpić?”, mówimy „tak, oczywiście”. „A to świetnie, wspaniale, bardzo się cieszymy, cały zespół Piwnicy będzie podekscytowany, jedna, dwie piosenki, może byście...?”. „Tak”.

„A no to wspaniale. To ja myślę, że publiczność będzie życzliwa, to będziecie mieć tutaj...” itd., itd. „No to umówmy się, że ja Państwu dam sygnał, wtedy wejdziecie Państwo na scenę”. No i dobrze, i wtedy dał sygnał i wychodzimy na scenę, wtedy Piotr mówi: „Proszę Państwa, szanowni Państwo, oto laureat Marek Grechuta, zespół „Anawa”, laureaci wspaniali studenckiego festiwalu, ależ co to za młodzi ludzie, co to za zdolni ludzie. Chciałbym tylko powiedzieć, że ich występ teraz nie jest włączony w cenę biletu” [śmiech]. I to było właśnie w stylu Piotra. Niemniej potem żeśmy się z Piotrem oczywiście zaprzyjaźnili i wprawdzie nie jako zespół kontynuowaliśmy współpracę. Ja nie byłem członkiem Piwnicy, natomiast, można powiedzieć, byłem profesjonalnym gościem z boku.

Przez wiele lat wielką postacią Piwnicy była też zmarła niedawno Ewa Demarczyk.

Ewa przyszła z kabaretu medyków Cyrulik, „chapnięta” przez Piotra i Zygmunta. Kto by wtedy nie chciał przyjść do Piwnicy? Pogadali, pouzgadniali i Ewa przyszła do Piwnicy w 1962 roku. Zygmunt Konieczny miał już wtedy na koncie kilka piosenek, które świadczyły o nim jako o nowatorze, ojcu nowej estetyki. Tyle że wykonawcy nie byli na tyle przygotowani, nie mieli takiej potencji czy możliwości, by spełnić oczekiwania Zygmunta. To nie robiło wrażenia. Gdy przyszła Ewa i Zygmunt zorientował się, jakie ma możliwości i jaka to może być artystka, zaczął powoli zabierać piosenki poprzednim dziewczynom. Mietek Święcicki do końca życia uważał, że Grande Valse Brillante był napisany pod niego, i gdyby on to śpiewał, to byłby sto razy większą gwiazdą. Utwór stał się wielką, najważniejszą wizytówką Ewy.

W ciągu pół roku opanowała te kilka rzeczy, które napisał Zygmunt, a które zostały odebrane śpiewającym amatorkom, przez co Zygmunt, jak opowiadał, o mały włos nie stracił palców, gdy jedna z, nazwijmy to, „posiadaczek” piosenki usłyszała, że ćwiczy ją Ewa, tak, dotknięta do żywego, niewiele myśląc, trzasnęła klapą od fortepianu. Zygmunt w ostatniej chwili odsunął palce. Mówił mi: „do dzisiejszego dnia musiałbym się innym zawodem parać”. Po fakcie okropnie go to śmieszyło.

Ewa w ciągu kilku miesięcy stała się niepodważalną gwiazdą. Wiele osób przychodziło na to świeże i wielkie zjawisko... Chociaż nie wszyscy nadążali, bo był taki plakat, gdzie nazwano ją „Ewą Demarczuk”.

Poza tym była jeszcze śmietanka kabaretu, wszyscy ci, których wymieniałem, i lata 60., 70., to był złoty okres Piwnicy. Tymi argumentami, o których mówiłem, Piotr fascynował, i zostać przez niego poproszonym o udział było zaszczytem i zobowiązaniem. Zdarzało mi się rzucać pisanie muzyki filmowej, żeby napisać peryferyjnie prezentowaną w Piwnicy piosenkę. Czuliśmy się w obowiązku spełniać najśmielsze i szalone pomysły Piotra. Potem stało się nieco inaczej, gwiazdy odchodziły, Ewa zrezygnowała z Piwnicy w połowie lat 70., Mietek Święcicki wszedł w chałtury, Krzysiu Litwin wszedł w psa Cywila, Wiesiek Dymny chciał coś swojego robić. Pojawiali się inni, nowi ludzie, młodzi, nie zawsze tak uzdolnieni.

Pojawił się Zbyszek Preisner, który swoimi pieśniami do tekstów ze stanu wojennego zrobił sensację, to były okropnie śmieszne rzeczy. Zygmunt Konieczny nie kontynuował współpracy z Ewą, ale robił zniewalająco piękne rzeczy, choćby dla Ani Szałapak. Pojawia się 16-letni Grześ Turnau, który gra na pianinie, jest akompaniatorem bez żadnej przyszłości, i raptem, na jakimś bankiecie, ktoś mu zaproponował by nagrał płytę, która niedługo stała się sensacją. Grześ stał się szybko gwiazdą Piwnicy, a gwiazdy były potrzebne. Jacek Wójcicki terminował w Piwnicy, a potem, w ciągu jednej nocy, dzięki występowi telewizyjnemu w Teatrze STU, stał się gwiazdą. Zbysiu Wodecki parę lat akompaniował na skrzypcach, przychodził do Piwnicy jako 19-latek uprowadzony z naszego zespołu Anawa, gdy Ewa zorientowała się, z jaką techniką potrafi grać i co z niego może wyrosnąć. A gdy nie było gwiazd, to zespół świetnie prezentował się jako zgrane towarzystwo. I tak to trwało do odejścia Piotra, do '96 roku...

A czy kabaret literacki, który był jednym z głównych bohaterów naszej rozmowy, jest formułą, która miała szanse przetrwać we współczesnej kulturze popularnej?

Niestety, z powodów oczywistych: nie ci odbiorcy, nie ta estetyka, nie ten poziom. To wszystko stało się dziś bardzo ludowe, ale w tym najgorszym znaczeniu, bo nie mam nic przeciwko ludowości jako takiej. Jednak poziom interpretacji, poziom absorpcji kultury czy mówiąc wprost poziom publiczności gwarantuje bezradność wobec poziomowi nawiązań literackich, który płynęłyby ze sceny.

W tym miejscu, na koniec, nie tylko w kontekście poziomu kabaretów, ale otaczającej nas rzeczywistości, chciałbym przywołać jako kodę dla naszej rozmowy o Piwnicy pod Baranami, słowa Piotra Skrzyneckiego wypowiedziane w ostatnim wywiadzie: „Jesteśmy wysepką w morzu bestialstwa, szarzyzny, głupoty, łajdactwa, cynizmu, nietolerancji i przemocy”. Brzmi to dziś bardzo współcześnie.

Rozmawiał Adam Talarowski

Fot. KazimierzP / fotopolska.eu, CC BY-SA 3.0



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego